

**MONOMU**



**TRZY ŚWIATY**

*Opowiadanie zawiera treści przeznaczone dla osób dorosłych (+18) i mogące być uznane za kontrowersyjne – w tym graficznie opisane sceny seksu pomiędzy mężczyznami oraz przemocy, a także wulgarne słownictwo.*

Adres bloga, z którego pochodzi opowiadanie:

<https://texas-brothers.blogspot.com/>

Plik przeznaczony do użytku prywatnego. Wszelkie kopiowanie, rozpowszechnianie i udostępnianie jest zabronione bez wyraźniej zgody autora

## **Spis treści**

<u>Rozdział 1.....</u>	<u>2</u>
<u>Rozdział 2.....</u>	<u>19</u>
<u>Rozdział 3.....</u>	<u>27</u>
<u>Rozdział 4.....</u>	<u>36</u>
<u>Rozdział 5.....</u>	<u>47</u>
<u>Rozdział 6.....</u>	<u>56</u>
<u>Rozdział 7.....</u>	<u>63</u>
<u>Rozdział 8.....</u>	<u>71</u>
<u>Rozdział 9.....</u>	<u>80</u>
<u>Rozdział 10.....</u>	<u>89</u>
<u>Rozdział 11.....</u>	<u>97</u>
<u>Rozdział 12.....</u>	<u>106</u>
<u>Rozdział 13.....</u>	<u>116</u>
<u>Rozdział 14.....</u>	<u>123</u>
<u>Rozdział 15.....</u>	<u>131</u>
<u>Rozdział 16.....</u>	<u>140</u>
<u>Rozdział 17.....</u>	<u>150</u>
<u>Rozdział 18.....</u>	<u>161</u>
<u>Rozdział 19.....</u>	<u>168</u>
<u>Rozdział 20.....</u>	<u>177</u>

## Rozdział 1

Nieprzytomnego, zakrwawionego mężczyznę znalazł jeszcze przed wschodem słońca biegacz, który jak co dzień wybrał się na jogging przed pracą. Zapewne by go przegapił, gdyby nie zatrzymał się przed koszem na śmieci, do którego zamierzał wyrzucić gumę do żucia. Oczywiście, jak przystało na porządnego obywatela, natychmiast zadzwonił na numer alarmowy. Zgodnie z poleceniami zbadał funkcje życiowe mężczyzny, a potem czekał na przyjazd służb.

Dwie godziny później na komendzie, która miała pod opieką ten rejon, pojawił się człowiek twierdzący, że może znać napastnika. Był młodym, przystojnym mężczyzną. Policjantowi, który go przyjął, przypominał jednego z tych specjalistów, jakich można było zobaczyć na bilbordach i ulotkach różnych prywatnych przychodni medycznych, czy gabinetów medycyny niekonwencjonalnej i estetycznej. Jasne, gęste włosy miał zaczesane do tyłu. Jego zdrowa, pozbawiona przebarwień skóra na policzkach była gładko ogolona, a jego zęby, choć na pewno prawdziwe, były tak proste i białe, że przypominały protezę.

Mężczyzna nazywał się Sebastian Czerniecki i wyemigrował do Szwecji trzy lata temu. Pracował jako optyk w jednym z lokalnych zakładów okulistycznych.

– Czer... – zaczął policjant, próbując odczytać nazwisko z dowodu osobistego, ale już w trakcie wiedział, że nie uda mu się poprawnie go wymówić. Uniósł więc wzrok na swojego petenta, a w jego spojrzeniu kryła się niema prośba o pomoc.

– Czerniecki – odpowiedział Polak, uśmiechając się przy tym przyjaźnie.

– Tak. Zgłosił się pan, ponieważ uważa, że może znać człowieka, który napadł na... – Policjant spojrział na monitor. – Na Hansa Knutssona. Skąd pan w ogóle wie o tym incydencie? Na lokalnych portalach internetowych nie zamieszczono jeszcze żadnych informacji.

– Rano minąłem się w klatce schodowej z Larsem, moim sąsiadem. To on zadzwonił na policję. Opowiedział mi o tym, co się wydarzyło, a ja po opisie skojarzyłem, że to może być Hans. Był wczoraj u mnie w nocy. W celach towarzyskich.

Policjant zachwycił się płynnością, z jaką mężczyzna posługiwał się szwedzkim. Świat byłby o wiele prostszy, gdyby wszyscy imigranci, a szczególnie ci z Afryki, tak łatwo się asymilowali, pomyślał. Tą uwagą nie mógł podzielić się z nikim głośno.

– Skąd się panowie znają?

– Pracujemy razem. Po pracy zaprosiłem go do siebie. Wyszedł trochę po północy. Miał iść pieszo do swojego mieszkania. Mieszka niedaleko, za parkiem.

– Od tamtej pory, gdy opuścił pańskie mieszkanie, kontaktował się z panem w jakiś sposób? Dzwonił albo pisał?

– Nie.

– A słyszał pan coś po jego wyjściu? – dopytał policjant. – Na przykład krzyk?

– Nie, nic takiego nie słyszałem.

– No dobrze. Dlaczego uważa pan, że może znać napastnika?

Polak wyraźnie się spał. Jego idealnie białe zęby przestały oślepić policjanta, gdy zacisnął wargi. Poprawił się na krześle.

– Myślę, że to może być ktoś, kto przyjechał za mną z Polski – przyznał. – Myślę, że mógł obserwować moje mieszkanie.

### *Kilka lat temu*

Sebastian Czerniecki czekał na przystanku na busa, który zawiezie go do jego rodzinnego wypizdowa. Był dopiero początek czerwca, a nieznośny upał już lał się z nieba. Z założonymi na uszy słuchawkami kalkulował, ile będzie go kosztował warunek z materiałoznawstwa. Dużo hajsu, pomyślał strapiiony. Za dużo. Przydałoby się zaliczyć przynajmniej zajęcia projektowe, bo już nie miał złudzeń, że uda mu się z egzaminem. Jednak dzisiejsze spotkanie z drugim terminem zaliczenia znacząco skurczyło jego nadzieje. Czuł ogromne zniechęcenie na myśl, że w przyszłym roku będzie musiał jeszcze raz przechodzić to piekło na zajęciach projektowych. Jego rozmyślenia przerwało wyjechanie zza zakrętu busa, na którego pomachał ręką.

Oprócz rozczarowanego rzeczywistością studenta w bardzo kiepskim humorze na busa czekały jeszcze dwie inne osoby. Kiedy Sebastian miał już otwierać drzwi,

wcisnęła się przed niego korpulentna dziewczyna. Pierwsza wsiadła do starego, zapewne ściągniętego z Niemiec, gdzie miał iść na złomowanie, busa i zajęła ostatnie z wolnych miejsc siedzących. Sebastian przeklął pod nosem i zapłacił u kierowcy za przejazd. Nie miał innego wyboru, więc przeszedł na koniec pojazdu, jedną ręką chwycił się oparcia siedzenia i pogłośnił w telefonie muzykę. Przedtem upchał jeszcze swoją torbę na półce pod sufitem. Dostrzegł wtedy, że pod pachami ma plamy potu. Skrzywił się. Dzień jest coraz lepszy, sapał w myślach.

Gdy bus włączył się do ruchu, lekko nim zarzuciło. Przeprosił drugiego ze stojących pasażerów, ponieważ na niego wpadł, a potem przymknął oczy. Zatopiony w „Balladach”<sup>\*</sup> Kata zamierzał przetrwać podróż do rodzinnego miasta. Może nie całą, bo płyta miała tylko pięćdziesiąt pięć minut długości, a jeśli korki będą małe, dojadą za jakieś półtora godziny. Później coś wymyśli, uznał.

Cudownie, parsknął w myślach po kilkunastu minutach jazdy w tym nieznośnym ścisku i smrodzie. Po prostu cudownie. Powinien się przyzwyczać, ale jakoś nie mógł. W busie bez klimatyzacji było jakieś czterdzieści stopni. W takiej temperaturze i w takim ścisku, jaki tu panował, ludzie zaczynali śmierdzieć. Szczególnie ci starzy, a głównie oni wracali od lekarza wczesno popołudniowym kursem na swoje zadupie. W busie panowała do tego potworna duchota, a przez stare zawieszenie na każdej nierówności niemiecki grat podrzucał swoimi pasażerami tak, że po kilkunastu minutach Sebastianowi zrobiło się niedobrze. Jednak to nie było nic nowego, nic niezwykłego. Przetrzymałby codzienną mękę w ciszy, jak robił to zazwyczaj, ale dzisiaj jeszcze jeden, niespodziewany element drażnił jego nerwy. Spojrzał w jego stronę zirytowany.

Na końcu busa siedziało czterech gości. Byli bardzo głośni, ich głosy przebijały się nawet przez skrzek elektrycznych gitar w słuchawkach Sebastiana. Rozwalili się na tylnych siedzeniach jak panowie świata i głęboko w poważaniu mieli pozostałych pasażerów. Śmiali się i przekrzykiwali, a co drugie słowo, które opuszczało ich gardła, było przekleństwem. Najbardziej irytujący był najmniejszy z całej zgrai. Wyglądało na to, że jego kumple go podpuszczali, a on reagował za każdym razem kolejną falą przekleństw. Gestykulował też przy tym bardzo mocno.

– No pierdol się, Monter! – zawołał już po raz któryś, kierując te słowa do mężczyzny obok, a pozostała trójka się roześmiała.

Nikt z pasażerów nie zareagował. Zapewne przez to, że czwórka rozwalonych na tylnych siedzeniach busa mężczyzn mogła pochwalić się groźną aparycją. Wszyscy byli w skórach nabitych ćwiekami, mimo tych nieznośnych upałów. Ten najmniejszy, a zarazem najgłośniejszy, miał nawet glany.

Sebastian obserwował ich ukradkiem. Coś mu mówiło, że ich spodnie i kurtki to była ręczna, samodzielna robota. Obok kurdupla, którego rudawa, nieujarzmiona fryzura upodabiała go do lwa lub orangutana, siedział znacznie wyższy facet, brunet o długich, falowanych włosach. Wyglądało na to, że to on miał ksywę Monter. Po drugiej stronie pokurcza siedział ogolony na zero gościu. Miał dość długą bródkę przeplecioną w kilku miejscach gumkami recepturkami. Obok niego siedział najspokojniejszy z całej bandy, w ogóle się nieodzywający facet. Miał niesamowicie długie, bo chyba sięgające pasa włosy w kolorze miodowego brązu. Jego kości policzkowe były bardzo wyraźnie zarysowane, co wynikało z jego chorobliwej wręcz chudości.

Gdyby nie to pieprzone zaliczenie z materiałoznawstwa, pewnie jakoś by to przetrwał. W każdy inny dzień, ale nie dzisiaj. Kiedy do jego uszu dotarła kolejna wiązanka przekleństw tego kurdupla skomentowana głośnym rechotem pozostałej trójki, wybuchnął:

– Czy wiecie, że człowiek jest stworzeniem społecznym, a życie w społeczeństwie wymaga dostosowania się do pewnych norm? Przede wszystkim dobrze byłoby zacząć od nieuprzykrzania innym życia, czyli mówiąc po waszemu, od zamknięcia mordy.

Wielkie, zielone i przekrwione oczy, co zapewne łączyło się ze stanem nietrzeźwości ich posiadacza, skupiły się teraz na nim, a ich intensywne spojrzenie wierciło w nim dziurę. Cała czwórka ucichła i patrzyła na niego, jednak to wzrok kurdupla sprawił, że Sebastian zaczął żałować swoich słów.

– Bo co? – warknął tamten. – Bo ja niby jestem głupi? A pan taki mądry, panie doktorowy?

„Panie doktorowy”, powtórzył w myślach Sebastian, zastanawiając się, co to miało znaczyć. Po chwili uświadomił sobie, że dziś nie założył soczewek, więc na nosie miał okulary o bardzo grubych szklach. Jego wada wzroku rosła aż do osiemnastego roku życia, kiedy to zatrzymała się na minus siedmiu dioptriach. W prymitywnym umyśle kurdupła zapewne czyniło go to „panem doktorowym”.

– Nie wiem, czy na co dzień jesteś głupi, czy nie, bo cię nie znam – odparł. – Wiem za to, że teraz zachowujesz się jak idiota.

– Więc nie jestem głupi? – spytał podejrzliwym tonem chłopak.

– Tego nie wiem – powtórzył Sebastian, marszcząc przy tym jasne brwi. Nie miał pojęcia, w jakim kierunku zmierzała ta konwersacja.

Rudy kurdupel patrzył się na niego jeszcze przez chwilę, po czym niespodziewanie szeroko się uśmiechnął.

– A chcesz się dowiedzieć, panie doktorowy? – spytał i przysunął się bardziej w stronę łysego gościa. Poklepał miejsce obok siebie w zapraszającym geście.

Sebastian dopiero teraz dojrzał, że w czwórce zajmowali pięć siedzeń. Zawahał się przez chwilę. Nie bardzo miał ochotę spędzać w towarzystwie tej zgrai kolejną godzinę. Jeszcze bardziej jednak nie chciało mu się stać do końca podróży, wciąż było mu niedobrze. Postanowił więc skorzystać z propozycji. Wcisnął się między kurdupła i jego kumpla. Od razu owiała go mieszanka zapachu skórzanych ubrań, papierosów, potu i jakiegoś taniego jabola.

– Sorry za niego – odezwał się niespodziewanie brunet i poklepał swojego żywiołowego kolegę po rudej czuprynie. – On już tak ma. Jestem Monter, a to Apacz. Ten łysy to Glaca. Zaś ta sierotka w kąciku to Mona.

Chudy chłopak w tych niesamowicie długich włosach pokazał mu środkowy palec, ale się nie odezwał.

– Sebastian – rzucił Czerniecki i posłał ulotne spojrzenie facetowi, który najwyraźniej był przywódcą tej zdziczałej bandy.

Monter, czy jak mu tam było, dostał w jego osobistym rankingu cztery i pół gwiazdki. Kawał przystojnego skurwiela.

– Spoko, tylko już tak nie kurwuj – rzucił do rudego.



– Ha, sam właśnie przekląłeś! – odparł bojowniczo chłopak. – Ale dobra, będę grzeczny, jak zdradzisz, co ci tam burczało w tych słuchawkach.

– Hm? Ach, „Legenda wysniona”.

– Klasyka – ucieszył się kurdupel. – No to szanuję, panie doktorowy.

– Nie jestem doktorem.

– Ale tak gadasz! I te bryle!

– Apacz, przymknij się – wtrącił się Monter, po czym rzucił do Sebastiana:

– Po jakimś czasie idzie się przyzwyczaić do jego pieprzenia.

Sebastian wahał się, czy w ogóle ciągnąć tę rozmowę, ale coś musiał zrobić przez godzinę, a jedna rzecz go strasznie nurtowała.

– Skąd wy w ogóle wracacie busem o czternastej? – zapytał. – Rano mogliście iść co najwyżej na prymarię.

– Na co? – zdziwił się Apacz.

– Byliśmy wczoraj na Acidach\*\*, a potem walnęliśmy o parę za dużo jaboli i przekimaliśmy w parku – wytłumaczył Monter z rozbijającymi szczerością oraz uśmiechem.

– I was nie zgarnęli?

– Był mecz, więc psy pewnie rozganiały kiboli po lasach – wtrącił ten łysy, na którego wołali Glaca.

– To stąd te aromaty – rzucił Sebastian, co zostało skomentowane śmiechem.

Co za bezproblemowe życie, pomyślał, patrząc po tych obdartusach. Sam coraz częściej miał ochotę rzucić „to wszystko”, zaczynając od studiów, a kończąc na Grzesiu, w pizdu, ale wiedział, że nigdy się nie zdecyduje. Był zbyt odpowiedzialny i za bardzo się przejmował.

Nigdy nie był na żadnym koncercie, poza tymi na różnych festiwalach, jak „dni miasta”, czy podczas Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, więc zapytał o to, jak było. Później gadali jeszcze więcej o muzyce i nim się zorientował, byli już na miejscu, czyli dawnym przystanku PKS, gdzie teraz zatrzymywały się busy.

– To siema – rzucił obleczonej w czarne skóry ekipie po wylądowaniu stopami na płycie przystanku.

Bez oglądania się za siebie ruszył w kierunku osiedla kilkunastopiętrowych wieżowców z wielkiej płyty. Odwrócił się zaskoczony, gdy usłyszał głośne „No zostaw pana doktorowego”. Ujrzał, jak Monter chwycił za kołnierz Apacza, który najwyraźniej chciał podążyć za Sebastianem. Czerniecki po godzinie spędzonej wspólnie był już przekonany, że coś z głową tego kurdupła było wyraźnie nie w porządku. Może przy porodzie doznał lekkiego niedotlenienia mózgu albo ojciec okładał go cegłówką po czerepie, gdy był dzieckiem. W każdym razie był lekko szajbnięty.

Sebastian pokręcił głową, poprawił torbę na ramieniu i już bez oglądania się za siebie ruszył w stronę domu. Z jakiegoś powodu był w znacznie lepszym humorze niż jeszcze półtora godziny temu.

Gdy otworzył drzwi do czterdziestometrowego mieszkania, w którym kisiła się jego czteroosobowa rodzina, nie było jeszcze szesnastej. Zdziwił go widok ojca obierającego ziemniaki w kuchni. Po chwili przypomniał sobie, że od dzisiaj miał przecież urlop. Matka siedziała w głębi i raczyła się kawą. Stary był pewnie cały dzień w domu, więc nie wypila dzisiaj nawet jednego piwa. Sebastian uśmiechnął się na tę myśl nieznanie. Na pytanie o to, jak poszło, odpowiedział jedynie, że spoko i zamknął się w swoim pokoju. Rzucił torbę w kąt i położył się na tapczanie. Jego pokój był wręcz klaustrofobicznie mały, a meble nie należały do jednego kompletu. Biurko było zupełnie nowe, a komoda pewnie pamiętała PRL. Tapeta zaczęła też odchodzić w kilku miejscach.

Na obiad był gruby i twardy schabowy z ziemniakami podlanymi tłuszczem po smażeniu mięsa. Ojciec nazywał to „wiejskim żarciem dla prawdziwych mężczyzn”. Sebastiana naprawdę brzydził ten przepalony olej, ale nigdy tego głośno nie powiedział. Nie chciał dawać ojcu powodu do wątpienia w to, że jest „prawdziwym mężczyzną”. W czasie obiadu pomyślał tylko, że to smutne, jak prymitywne jest ich życie.

Wieczorem postanowił iść do Grzesia. Wziął szybki prysznic bez moczenia włosów. Przebrał się w spodnie przed kolano w kolorze khaki i czarną koszulkę z „Kapitanem Bombą”. Na bosc stopy wzuł tenisówki. Przejście do bloku Grzesia zajęło mu może jakieś pięć minut.

Grześ był sam. Jego matka wyszła na spotkanie ze znajomą. Gdy Sebastian pochylił się, by ściągnąć buty, uśmiechnął się krzywo. Jego twarz zasłaniały teraz rozpuszczone włosy, więc nie podpadnie Grzesiowi. Rozbawiło go dezaprobujące spojrzenie, jakim obdarzył go przed momentem jego chłopak, gdy spostrzegł, że Sebastian nie ma skarpetek.

Przeszli do pokoju. Miał dokładnie takie same wymiary jak ten Sebastiana, ponieważ ich mieszkania były swoimi wiernymi, choć trochę krzywymi kopiami z wielkiej płyty. Przynajmniej jeśli chodziło o rozkład pomieszczeń i metraż. U Grzesia próżno było szukać pociemniałych boazerii na ścianach i wydeptanych wykładzin, które królowały u Sebastiana. Mieszkanie było bardzo ładnie urządzone i niedawno wyremontowane. Mama Grzesia miała bardzo dobry gust. No i spore alimenty od byłego męża, lekarza.

– Muszę jeszcze doszlifować projekt – zawiadomił Grześ i usiadł na swoim obrotowym krześle.

Od razu wrócił do rysowania czegoś bliżej nieokreślonego w AutoCAD-zie. Studiował wzornictwo przemysłowe na Akademii Sztuk Pięknych. Sebastian odmruknął coś niewyraźnie i położył się na równo zaścielonym łóżku. Uśmiechnął się do siebie, bo po chwili otrzymał komentarz, którego się spodziewał:

– Twoje włosy znowu będą wszędzie – rzucił Grześ, na moment odlepiając wzrok od monitora. – Może byś obciął? Nie wiem w ogóle, po co je nosisz.

Sebastian był rasowym niebieskookim blondynem. Ktoś mu kiedyś powiedział, że gdyby nie czesał i nie golił się przez kilka dni, wyglądałby zupełnie jak Kurt Cobain. Nie była to niestety prawda, bo gdy tylko próbował wyhodować przyzwoity zarost, ten rósł ohydny, rudymi kępkami. Włosy, które sięgały mu już za ramiona, zapuszczał, bo po prostu uznał, że będzie dobrze w nich wyglądał. I efekt, który uzyskał, bardzo mu się podobał. Mniej zachwycony był Grześ, a to co uwierało go najbardziej, to długie, jasne włosy, które zaczął znajdować chociażby na swojej ciemnej pościeli. To zaś bardzo drażniło jego pedantyczną duszę.

– A może nie? – odparł jedynie Sebastian i prześlizgnął się wzrokiem po sylwetce Grzesia.

Po raz któryś doszedł do wniosku, że nic go nie kręci w tym chłopaku. Za to kilka rzeczy, które z początku go bawiły, później irytowały, teraz zaczęły być dla niego wręcz odpychające. Przede wszystkim ta obrzydliwa, hipsterska broda drwała. Grześ codziennie rano i wieczorem cesał ją specjalną szczotką z włosiem dzika, która nie zaciągała mu naskórka. Robił to zaś prawie z namaszczeniem. Pielęgnował ją trylionem kosmetyków, na które wydawał śmieszne wręcz sumy. Cały był też obrendowany, zaczynając od pastelowej koszuli z krótkim rękawem, a kończąc na bieliźnie od Calvina Kleina. Rzucał się na wszystko, co było akurat na topie. Był też bardzo niski, chyba gdzieś wielkości świniętego kurdupla, którego Sebastian dzisiaj poznał, a przy tym bardzo szczupły. Tę drugą rzecz zawdzięczał diecie wegańskiej oraz karnetowi na zajęcia z fitnessu, na którą chciał zaciągnąć również swojego chłopaka. Sebastian obronił się tym, że sam regularnie pływa i to mu wystarczy.

Kiedyś zastanowił się nad tym głębiej. Dlaczego w ogóle chodzi z Grzesiem? Przeanalizował sobie wszystko dokładnie, a wniosek, do którego doszedł, trochę go rozbawił, a trochę przeraził. Zawsze utrzymywał, przekonywał sam siebie, że w liceum Grześ go jakoś zafascynował. Teraz zaś wszystko widział dokładniej. Grześ był po prostu jedynym pewnym trafieniem. Jedynym gejem, do którego Sebastian miał stuprocentową pewność. I tak miał szczęście, uznał, że spotkał kogoś takiego na tym zadupiu. Grześ co prawda „rozkwitł”, dopiero gdy wyjechał na studia do dużego miasta, ale już w szkole średniej był na tyle oczywisty, że Sebastian nie wahał się, uderzając do niego.

Wniosek był więc taki, że Grześ był po prostu pod ręką. „Smutne, ale prawdziwe”\*\*\*, pomyślał Sebastian. Nawet teraz był po prostu najprostszym rozwiązaniem. Dzięki niemu nie musiał zagłębiać się w świat, który niekoniecznie chciał poznać. Szczególnie patrząc na Grzesia i jego „znajomych” z wielkiego miasta.

– W ogóle, to wysłałem ci zaproszenie do zamkniętej grupy – rzucił w pewnym momencie Grześ. – Mógłbyś poznać moich kumpli z ASP. Nie odpowiedziałeś. Moglibyśmy kiedyś grupą iść na kawę. Wiesz, jak skończy się sesja.

Właśnie myślałem o tych twoich ciotkach, parsknął w myślach Sebastian. Odmruknął coś niewyraźnego w odpowiedzi. Unikał tego, jak tylko się dało.

– Jakiś taki w niehumorze jesteś – zauważył Grześ. – Po co tu dziś w ogóle przyszedłeś?

– A jak sądzisz? – odparł Sebastian. – Skończ już to i chodź do mnie.

– Jak pójdziesz na stację benzynową. Nie mam prezerwatyw.

Sebastian powstrzymał się przed zirytowanym westchnięciem.

– No i co z tego? Zdradzasz mnie? – parsknął.

Grześ spojrzał na niego karcąco.

– Myślisz, że jesteś zabawny?

Sebastianowi już się wszystkiego odechciało, nawet odpowiadać. Przewrócił się na bok, twarzą w stronę ściany. Grześ też wrócił do swojego zajęcia, bo zaraz w pokoju słyhać było tylko tępe dźwięki uderzenia palców w klawiaturę.

– Hej, Seba? Obraziłeś się? – spytał po pewnym czasie chłopak lekko zaniepokojonym głosem. – Wiesz, że jestem trochę... nie lubię, jak jest kurz albo... Sam wiesz.

Najwidoczniej Grześ nie mógł się wysłowić, więc Sebastian postanowił mu pomóc. „Trochę pojebany”, dokończył za niego w myślach.

– Nie jestem zły – odparł, nie otwierając oczu. – Po prostu mam bardzo chujowy dzień.

– Nie przeklinaj. Hej, Seba...

Wyczuł wyraźne wahanie w głosie chłopaka. Odwrócił się i spojrzał na niego z czymś na kształt nadziei.

– No? – ponaglił, bo Grześ widocznie się wahał.

– Pójdziesz ze mną w niedzielę do kościoła?

Sebastian poderwał się do siadu jak trafiony piorunem. Tego już było dla niego za dużo.

– No kurwa! – zirytował się. – Tyle razy już o tym mówiliśmy!

– To mówimy jeszcze raz.

– Nie, nie mówimy!

Minutę później zatrząskiwiał już za sobą drzwi mieszkania Grzesia. Zbiegł z dziesiątego piętra, pokonując naraz po trzy schody. Otrzeźwiło go trochę dopiero świeże powietrze. Właściwie nie wiedział, dlaczego tak się zdenerwował. Przecież sły-  
szał to samo prawie przy każdym spotkaniu. Nauczył się wpuszczać to jednym uchem,  
a wypuszczać drugim.

Roześmiał się, gdy nagle przypomniał sobie, że Grześ był kiedyś ministrantem. On, naczelny pedał ich wypizdowa. Wracając do domu, puścił sobie jeden z nieśmier-  
telnych hitów Arki Satana. Ot tak, dla przekory i własnej satysfakcji.

Do domu wszedł tylko po to, aby zabrać Bohuna na spacer. Był to jego pies,  
a zarazem najlepszy przyjaciel. Tak skundlony, że nie dało się rozpoznać rasy,  
ale przez to nieśmiertelny. Miał już dziesięć lat, a wciąż rozpierała go końska wręcz  
energia. Sebastian postanowił iść na pobliską łąkę, która rozpościerała się za rzeką.  
Jego osiedle leżało właściwie na krańcu miasta. Dalej była już tylko łąką,  
na której kilka lat temu wybudowano zakład produkujący jakieś podzespoły  
do samochodów, las, a za nim miejskie kąpielisko.

Gdy był już blisko mostku, ujrzał, że ktoś wyszedł spomiędzy garażów i także  
zmierza w tę stronę. W innym wypadku Sebastian nie zainteresowałby się w ogóle  
spacerowiczem, ale zdawało mu się, że rozpoznał tego człowieka. Co prawda, teraz  
nie miał na sobie nabijanych ćwiekami skór, a tylko szary bezrękawnik i czarne  
spodenki przed kolana, ale w jego kierunku z całą pewnością zmierzał Monter. Chyba  
też go rozpoznał, bo nagle przyspieszył kroku i pomachał do niego ręką. Po chwili pa-  
trzyli na siebie w świetle latarni.

– Padało? – zaśmiał się Sebastian, wskazując na mokre, dość mocno kręcące się  
włosy mężczyzny.

– Wyschną, jest ciepło. Wziąłem długą kąpiel, bo ktoś zarzucił mi, że pachnę  
nieprzyjemnie – zaśmiał się Monter, pijąc do ich rozmowy z busa. – Jednak moja suka  
nie mogła czekać.

Monter miał na myśli pekińczyka, który teraz starał się dosięgnąć nosem do tył-  
ka znacznie większego Bohuna.

– Twój? – spytał Sebastian, unosząc brwi.

Widok gościa, który kilka godzin temu terroryzował pasażerów busa, z pekińczykiem na różowej smyczy był dość abstrakcyjny i zmusił go do zduszenia parsknięcia śmiechem, co słabo mu jednak wyszło.

– Dziewczyny – odparł Monter w ogóle niewzruszony.

Wyglądało na to, że ich psy zakończył skomplikowany rytuał przywitania i postanowiły zawiązać sojusz.

– Nie wiedziałem, że mieszkasz na tym osiedlu. Chyba nigdy cię nie widziałem.

– Bo nie mieszkam. Pilnuję mieszkania i psa mojej dziewczyny, bo wyjechała ze starymi na wakacje.

– Aha – odmruknął Sebastian mimo wszystko trochę zawiedziony, chociaż na nic przecież nie liczył. Jednak umyty i pachnący Monter miał już u niego całe pięć gwiazdek. – Zamierzałem się przejść chwilę za mostek. Idziesz też?

– Spoko. Możemy iść. Twoje wielkie bydle chyba nie ma ochoty zagryźć mojej szczurzycy.

Przeszli przez drewniany most i zaczęli iść szeroką, wyklepaną ścieżką. W wakacje, w ciągu dnia, drogę tę pokonywały prawdziwe tłumy. Niecała godzina piechotą i można było rozkładać się na plaży przy miejskim kąpielisku. Po lewej stronie ścieżki rozpościerała się łąka, a po prawej rzadki las, złożony głównie z brzoź, sosen i leszczyny. Spuścili swoje psy ze smyczy, a Monter rzucił im patyk. Oba pobiegły za nim, chociaż „szczur” nawet nie miał szans go unieść.

– To studencie, jak sesja? – spytał Monter.

– Chujowo – odparł Sebastian. – Nawet nie chcę o tym gadać. A ty co porabiasz w życiu?

– Zacząłem pracować zaraz po skończeniu technikum elektrycznego. Akurat zakończyli budowę i zaczęli przyjmować. – Monter wskazał na mającą w oddali zakład. – Tak się elegancko złożyło.

– I co tam robisz?

– No jak to co? Jestem monterem. – Zaśmiał się.

To strasznie rozbawiło Sebastiana. Zapewne przez ton, jakim powiedział to chłopak.

– Ale jak mam wolne, to jak najdalej od roboty.

Monter skierował go lekkim szturchnięciem ramienia na boczną ścieżkę, która prowadziła do lasu. Psy podążył ich tropem. Niebo było dzisiaj przejrzyste, więc gwiazdy świeciły bardzo mocno. Dzięki temu, pomimo późnej pory, Sebastian mógł nasycić oczy tym niezwykle przyjemnym widokiem. Nie znał zbyt wielu facetów wyższych od niego. Do tego Monter był bardzo dobrze zbudowany, co nie było takie oczywiste, gdy miał na sobie te wszystkie skóry.

– Ten niski – zaczął, aby o czymś gadać – Apacz, czy jakoś tak... Czy on nie jest trochę... Trochę, trochę?

– Trochę pieprznęty? No raczej. Chyba ma nawet na to jakiś papier – odparł niewzruszony Monter. – Strasznie cię polubił, a jak się na czymś zafiksuje, to nie ma zmiłuj. Już chyba oficjalnie zostałeś Doktorowym.

– Nigdy nie miałem ksywy – przyznał rozbawiony Sebastian.

Spostrzegł, że właśnie zbliżali się do grupy drzew, która była dla niego czymś w rodzaju pomnika. To, co tam zobaczył przed laty, stało się kamieniem milowym w jego życiu. Czymś w rodzaju symbolu. Wahał się chwilę, ale w końcu wypalił:

– Jak byłem szczyłem, często chodziłem tu na spacer, jak chciałem być sam. Jak wracałem, mama zawsze pytała się mnie, czy widziałem coś ciekawego. Chodziło o jakieś zwierzęta. Kiedyś powiedziałem jej, że widziałem dwóch całujących się facetów. Stali między tamtymi drzewami.

Monter po raz pierwszy wydawał się trochę skonfundowany. Sebastian nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa. Brunet uniósł brwi i spojrzał przeciągle w stronę wskazanych zarośli.

– Na serio? – zapytał zwykłym tonem. – I jak na ten news zareagowała twoja rodzicielka?

I to wszystko? – zdziwił się Sebastian. Poczul jednak ulgę. Nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego wypalił z czymś takim. Cieszył się, że dostał tak obojętną reakcję. Nie chciał zakończyć ich znajomości. Nawet chętnie jeszcze poprzedrzałby się z tym przypominającym małpę narwańcem.



– Załamała ręce i powiedziała „biedne dzieci” – zaczął opowieść, mimowolnie uśmiechając się do swoich wspomnień. – Myślałem, że zaraz usłyszę jej interpretację kazania z ambony. Ale stwierdziła, że pewnie nieszczęśnicy się przeziębią, bo już prawie zima. A w domu nie mogą, bo rodzice. Na ławce nie mogą, bo sąsiedzi. To muszą biedaki w lesie.

Monter roześmiał się tak głośno, że pekińczyk zaszczekał swoim wysokim, nieprzyjemnym dla ucha głosem.

– Niezłe! – skomentował rozbawiony.

Zaraz jednak spoważniał i przyglądał się uważnie Sebastianowi, który pod naporem tego spojrzenia poczuł się niepewnie.

– I co? Chciałbyś teraz odegrać tę scenę ze mną?

Byłem aż tak oczywisty, gapiąc się na niego jak krowa? – przeraził się Sebastian. Powinien potraktować to jako żart albo zaprzeczyć, ale jakoś nie mógł się do tego zmusić. Nie musiał, bo znów odezwał się Monter.

– Sorry, ale nie moje klimaty.

– No raczej... – zaczął Sebastian, próbując na szybko wymyślić jakąś klarującą sytuację ripostę, ale Monter przerwał mu w pół zdania, przykładając niespodziewanie dłoń do jego ust.

– Bo ja nie lubię półśrodków.

Oczy Sebastiana były bardzo bliskie wypadnięcia z orbit. Gapił się na chłopaka, a w jego głowie kotłowało się tysiąc myśli. Jego umysł nie chciał dopuścić możliwości, że to dzieje się naprawdę. Nie tu. Nie na tym zadupiu. Nie w realnym świecie.

A jednak. Spojrzał w bok. Nawet teraz umiał wskazać drzewo, o które opierał się tamten chłopak. Nie mógł tego widzieć, ale był pewien, że się czerwieni. Chyba nigdy nie rumienił się przy Grzesiu. Przez niego. Bo nigdy wcześniej to on nie był zdobywcą.

– Ja też nie – odparł, gdy jego usta zostały uwolnione.

Nie patrzył już na niego, tylko pierwszy ruszył ścieżką. Słyszał, że Monter podążał tuż za nim. Zastanawiał się nad tysiącem rzeczy. Jak to będzie wyglądało?

Jak daleko zajdą? Nie miał złudzeń, że to będzie coś więcej niż jednorazówka na świeżym powietrzu. Chciał więc wycisnąć z tego, ile się dało.

Musiał zaprzeć się o pień drzewa, gdy nagle został gwałtownie na niego popchnięty. Skóra na dłoniach zapiekła go mocno, bo obtarł ją o szorstką korę sosny. Nie minął moment, a on już czuł dłonie na swoim kroczu. Pochylił głowę, jakby oddawał komuś ukłon i patrzył, jak odpinają mu guzik i rozpinają zamek błyskawiczny. Po chwili spodenki i bieliznę miał już przy kostkach. Wiedział, że ma świetni tyłek. Zarówno wizualnie, jak i namacalnie. Te wszystkie pokonane długości basenu zaowocowały. Poczul na pośladkach duże i pewne w swoich ruchach dłonie. Usłyszał aprobujące mruknięcie.

Co za chora sytuacja, pomyślał z krzywym, ale zadowolonym uśmiechem. Ten zagajnik nie był zbyt gęsty, a on właśnie stał tyłem w kierunku ścieżki i świecił bladym tyłkiem. Wręcz niemożliwie go to ekscytowało. Oblizął wargi, gdy usłyszał metaliczny brzdęk rozpinanej sprzączki paska.

– Otwórz.

Monter podsunął mu zapakowaną prezerwatywę, którą musiał wygrzebać gdzieś z czeluści kieszeni swoich spodni. Więc to tyle, pomyślał Sebastian, odbierając ją. Nie czuł jednak pretensji, czy niedosycenia. Był traktowany jak przedmiot, ale on to samo robił z chłopakiem za nim. Obaj chcieli tego samego. To była milcząca, obojętna zgoda. Chcieli się wykorzystać.

Sebastian czuł niesamowitą ekscytację, bo to było dla niego coś zupełnie nowego. Nieodkryty, dziewiczy ład. Gdyby Grześ miał w sobie choć połowę tej ikry, przeszło mu przez myśl.

Myśl o jego chłopaku zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Wyrzuty sumienia zostawił sobie na później. Gdy podawał chłopakowi nawilżaną prezerwatywę, odwrócił się i wreszcie spojrział na niego.

– Co? Pocałować się? – spytał Monter, uśmiechając się przy tym zadziornie. Trochę wręcz pyszałkowato. Najwyraźniej wyczytał z miny Sebastiana nieme błaganie.

– Myślałem, że nie chcesz przez swoją dziewczynę – odgryzł się chłopak, posyłając mu taki sam uśmiech.

– Heh.

Monter chwycił go za włosy i zmiądzzył jego usta w pocałunku, jednocześnie dociskając się do jego ciała. Sebastian poczuł, jak penis chłopaka ociera się o jeden z jego pośladków, by później wsunąć się między nie.

– Moja dziewczyna jest kilkaset kilometrów stąd – odparł Monter, gdy uwolnił jego usta.

– I?

– I to – kontynuował, nasuwając prezerwatywę – że ja trzymam się zasad z tras koncertowych moich idoli. Sto kilometrów od domu, to już nie zdrada.

– Wygodne – skomentował Sebastian.

Zaparł się mocniej o drzewo i szerzej rozstawił nogi, bo poczuł że penis zaczął się w niego wsuwać. Starał się rozluźnić. Nie miał w analu dużego doświadczenia. Pochylając głowę, patrzył przez kosmyki jasnych włosów na swojego sztywnego penisa. Nawet się nie dotknęli, przeszło mu przez myśl.

Monter wsuwał się bardzo wolno. Systematycznie i uparcie pokonywał opór ciała. Sebastian był mu za to bardzo wdzięczny. Zaparł się ramieniem o pień i oparł na nim czoło, podając się ekstatycznej torturze. Chyba słyszał świerszcze.

Nagle idylliczną ciszę przerwał głośny dźwięk. To pekińczyk zaszczekał. Monter zaśmiał się chrapliwie, owiewając jego kark gorącym powietrzem.

– Suka się niecierpliwi – rzucił rozbawiony, a odebrać to można było na dwa sposoby.

Naraz Sebastian znów przejechał dłonią po korze drzewa. Stęknął zaskoczony, gdy ruchy chłopaka stały się gwałtowniejsze. Monter rozgościł się w nim na dobre i postanowił im obu dać bezwzględną w swojej formie przyjemność. Sebastian chwycił się za penisa i zaczął masturbować zwawymi ruchami. Doszedł jako drugi dopingowany dyszeniem ukontentowanego mężczyzny za sobą.

– No i po sprawie – rzucił Monter pozbawionym jakiegokolwiek napięcia głosem. Na zakończenie klepnął Sebastiana w umięśniony pośladek. – Świetna dupa.

– Świetny chuj – zripostował Czerniecki.

Gdy już byli ubrani i stali naprzeciwko siebie, uświadomił sobie, że nawet nie zna jego imienia. To doskonale wpisywało się w to, co właśnie zrobili. Trzeba coś powiedzieć, uznał. Coś bez znaczenia. Popatrzył pod nogi.

– Dzieci będą mieć niespodziankę w dzień Sprzątania Świata – rzucił, wskazując na zużytą prezerwatywę.

– Nauczą się czegoś przydatnego, bo edukacja seksualna kuleje – odparł Monter. Zaraz zmarszczył brwi. – Gdzie jest twój pies?

– Co?

Zaskoczony Sebastian rozejrzał się dookoła. Pod ich nogami pałętał się tylko pekińczyk. Zawołał kilka razy Bohuna, ale bez rezultatu. Wyszli na główną ścieżkę, ale tu nawoływanie też nic nie dało. Bohun przepadł jak kamień w wodę, do tego było już całkiem ciemno.

– Matka mnie zabije – rzucił Sebastian, nerwowo się oglądając. – A jak wpadnie pod samochód?

– Teraz nic nie zrobisz. Jutro rano go poszukamy. Ściągnę chłopaków. Na pewno go znajdziemy albo sam wróci. Zobaczysz.

Sebastian popatrzył na niego szczerze zdziwiony. Sądził, że chłopak będzie chciał się od niego odciąć, a on proponował mu pomoc.

– Apacz ma zwierzęcy instynkt, wytropi wszystko – dodał Monter.

\*Ballady – album polskiego zespołu Kat wydany po raz pierwszy w 1994 roku.

\*\*Chodzi o polski zespół metalowy Acid Drinkers

\*\*\*Tłumaczenie tytułu utworu Metalliki „Sad but True”.

## Rozdział 2

Wrócił do domu. Wysłuchał tego, co matka miała do powiedzenia na temat jego braku odpowiedzialności. Sam czuł się źle z tym, że zgubił Bohuna, więc nie próbował ripostować, jak to zazwyczaj miało miejsce. Ojciec także się dołączył, chociaż przynajmniej raz na tydzień powtarzał, że trzymanie psów w mieszkaniu w mieście to głupota, a traktowania go jak członka rodziny było wręcz kretynizmem, bo to tylko zwierzę stworzone przez człowieka, aby mu służyło. Pilnowało zagrody, a nie służyło za maskotkę.

Teraz jednak jego rodzice mówili jednym głosem. Może nie do końca, bo matka bała się, że Bohun wpadnie pod samochód, a ojciec, że ugryzie go lis zarażony jakimś świństwem. Ogólnie skończyło się na konkluzji, że ich syn wciąż jest nieodpowiedzialnym szcylem i jeszcze daleko mu do dorosłości. W duchu przyznał im rację.

– A co ty właściwie robiłeś na tym spacerze, że nie zauważyłeś, jak zniknął?  
– spytała w pewnym momencie matka, ubierając buty.

Postanowiła, że mimo później pory przejdzie się po osiedlu. Może uda jej się go znaleźć. Naprawdę się martwiła. Sebastian, który miał już zniknąć w swoim pokoju, nie odwrócił się w jej stronę, gdy usłyszał pytanie. Nie miał tyle odwagi, aby spojrzeć jej w twarz, kłamiąc.

– Po prostu się zagapiłem – rzucił na odczepnego. – Jak tylko wstanę rano, będę go szukał do skutku.

Zamknął za sobą drzwi i padł na łóżko. Przejechał dłońmi po twarzy, zaczepiając paznokciami o skórę. Jego serce znów zaczęło bić jak szalone. Zrobił to! Naprawdę to zrobił! Co za nierzeczywista akcja. Zupełnie jak w pornolu, parsknął w myślach. Nadal nie znał jego prawdziwego imienia, numeru telefonu czy adresu. Może nawet już nigdy się nie spotkają.

Zmarszczył brwi na tę konkluzję. Trochę szkoda, przyznał przed sobą. To był naprawdę dobry kawałek fiuta.

– Co się ze mną dzieje? – szepnął w ciemność, która spowijała jego malutki pokój. Jeszcze kilka godzin temu nawet nie podejrzewałby siebie, że byłby zdolny zrobić coś takiego.

Jego myśli popłynęły w kierunku, który musiały obrać. Nawet nie próbował się przed tym bronić, bo wiedział, że nie było sensu. Grześ. Nie był potworem, więc czuł wyrzuty sumienia. Nigdy wcześniej nie zrobił czegoś takiego. Nawet nie przeszło mu to przez myśl, bo...

Właśnie, dlaczego? – zapytał sam siebie. Dużo czasu spędził zastanawiając się nad tym, chociaż tak naprawdę próbował oddalić odpowiedź, którą dobrze znał. W końcu się jednak poddał. Odpowiedź była prosta. Bo nie miał okazji. Ale czy to była wyłącznie jego wina? Nie uważał tak. On po prostu poszukał gdzieś indziej tego, czego nie otrzymywał od Grzesia.

Naszło go więc kolejne pytanie. Czy powinien się przyznać i zerwać? Rozwazał wszystkie „za i przeciw”, leżąc tak bezruchu na łóżku wciąż w wyjściowym ubraniu. Naprawdę wiele myśli przewinęło się przez jego głowę, ale nie było to miejsca na „Nie chcę go stracić, bo go kocham”. Ta druga część zawsze była inna. Jego argumenty, które przedstawiał sam sobie, były znacznie bardziej racjonalne.

Zebrał się z łóżka i wyciągnął spod poduszki piżamę z zamiarem udania się do łazienki, gdy już postanowił, co zrobi. Nic nie powie Grzesiowi. Bo tak było znacznie łatwiej i wygodniej.

– Jesteś świnią, Seba – wyszeptał do swojego odbicia w dużym, poplamionym zieloną pastą do zębów łazienkowym lustrze.

Grześ często wołał na niego „Seba”, a on tego nienawidził, bo kojarzyło mu się z jakimś dresiarzem.

Wykąpał się, najwięcej uwagi poświęcając przy tym przetłuszczonym włosom i swoim miejscom intymnych, dokładnie je płucząc. Poczucie ekscytacji znów go ogarnęło. Nie wiedział, jakie to dokładnie hormony ogarnęły jego ciało, ale dziś wręcz się w nich topił.

Było już bardzo późno, gdy wreszcie udało mu się zasnąć.

W sobotę wstał jednak wcześniej, bo przed ósmą. Pierwotny plan zakładał cały weekend wkuwania, ale przez wczorajsze wydarzenia uległ korekcie. Z dwóch powodów. Po pierwsze, Sebastian musiał znaleźć Bohuna, bo matce nie udało się to wczoraj wieczorem. Po drugie, nie byłby zdolny się dzisiaj skupić nad skryptami i notatkami. Gdy tylko się obudził, wspomnienia i ekscytacja z ubiegłego wieczoru znów uderzyły w niego z pełną siłą. Wciąż czuł się jak dzieciak pod choinką wśród stosu bożonarodzeniowych prezentów.

Prosto po śniadaniu i lekkim ogarnięciu się wyruszył na poszukiwania. Nie wierzył, żeby Bohun naprawdę wpadł pod samochód. Był na to za mądry, ale Sebastian martwił się już na poważnie. Jego psu zdarzało się już kilka razy się zgubić, ale zwykle znajdował się sam, czyli po paru godzinach od zniknięcia czekał przed drzwiami klatki. Dziś jednak tak nie było. Po wyjściu z klatki Sebastiana zastał standardowy widok – szare bloki, krzywo skoszona trawa, jakieś krzaki, więcej bloków i pan Stasiek na ławeczce, lokalny żul z nieodłączną puszką Żubra w zgrzybiałej łapie.

Sebastian minął go, nie zaszczycając nawet „dzień dobry”. Przeciął osiedle, zmierzając do punktu, z którego postanowił zacząć poszukiwania, czyli mostku. Nieopodal niego, pomiędzy starymi lipami, pętlę robiła stara alejka. Pozostałość po parku z czasów przed wybudowaniem tu osiedla z wielkiej płyty. Zwykle spotykała się tam lokalna dzieciarnia, więc pod zdezelowanymi ławkami walały się stosy petów i butelek po piwie. Teraz do ich powiększenia przymierzała się trochę starsza drużyna. Bo oto na jednej z ławeczek Sebastian dojrzał trzy czwarte zdziczałej ekipy, którą poznał ledwie wczoraj w autobusie.

Był tam łysy Glaca, jego przeciwieństwo, czyli długowłosy Mona, no i ten, na którym natychmiastowo skupił się wzrok Sebastiana, a tętno przyśpieszyło, czyli Monter. Ten też go zauważył i pomachał do Sebastiana, przywołując go. I to rozwiązało dylemat chłopaka, czy ma udawać, że nie zauważył ekipy z wczoraj i po prostu ich minąć, czy może podejść.

Skręcił w alejkę i podszedł do nich z dłońmi wciśniętymi w kieszenie. Na luzaku, bo uznał, że tak właśnie ma się to odbyć. To wywnioskował z entuzjastycznego machania Montera. Sytuacja z poprzedniego wieczora dziś już nie miała znaczenia.

Dziś już nie istniała i nie niosła ze sobą żadnych konsekwencji. Taki to był układ i najwidoczniej odpowiadał im obojgu.

– Doktorowy – Glaca przywitał się jako pierwszy, gdy Sebastian stanął przy zajmowanej przez nich ławce.

Jego długowłosego kolega jedynie kiwnął głową, po czym znowu zaciągnął się papierosem.

– No hej – rzucił Sebastian, próbując nie gapić się wyłącznie na Montera, co nie było wcale takie proste. – Co tu robicie?

– No przecież obiecałem, że pomożemy ci szukać twojej bestii – odparł chłopak. – W końcu straciłeś ją z oczu przez nasze *rendez-vous* w krzaczorach.

Sebastian z trudem zamaskował wyraz zaskoczenia. Spojrzał na kolegów Montera. Ci tylko lekko się uśmiechnęli. No tak. Uznali to za zwykły żart. Nawet nie przeszłoby im przez myśl, że to mogłoby być coś innego. Monter dobrze o tym wiedział i igrał z nim specjalnie.

– Nie sądziłem, że to na poważnie – odparł luźnym tonem Sebastian. – Nawet nie umawialiśmy się na żadną godzinę czy coś.

Monter wzruszył ramionami, a Glaca podniósł jednorazówkę, która dotąd leżała u jego stóp. Były w nim puszki z piwem.

– Za to, to świetna wymówka, aby walnąć sobie jednego o poranku na ławeczce – stwierdził, uśmiechając się.

Sebastian otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale jednak tego nie zrobił. Nie wiedział, co miałby powiedzieć. Pomyślał tylko, że to musi być świetne uczucie mieć aż tak wyjebane na wszystko. Z automatu pomyślał o Grzesiu i o tym, co ten zapewne robił w sobotni poranek. O tej godzinie powinien już być po śniadaniu, jednym z tych wege nawozów, które sam przyrządzał i próbował nimi paść także jego, i właśnie zmierzał na siłownię.

Krzyknął z zaskoczenia, co wywołało falę śmiechu, gdy nagle poczuł, jak ktoś się na nim uwiesza. Odwrócił głowę. Rude kłaki podrażniły jego nos.

– Doktorowy! – ucieszył się Apacz, nie przestając naruszać jego przestrzeni osobistej.



Kurdupel jeszcze raz uściskał Sebastiana, jakby znali się od niepamiętnych czasów, a później usiadł na ławce obok długowłosego Mony, któremu bez pytania wyciągnął papierosa z ust i sam się nim zaciągnął.

– Ale jestem stywany! – jęknął, wyginając się do tyłu i wypuszczając z ust obłok jasnego dymu.

– Jest dziewiąta – zdziwił się Sebastian.

– Apacz pracuje na nockach na ochronie w centrum handlowym – wytłumaczył Monter, zbierając się z ławki.

Stał teraz koło Sebastiana. Jego przyjaciele nie mogli tego widzieć, ale położył mu dłoń na pośladku. Blondyn posłał mu szybkie, ukradkowe spojrzenie, próbując odgadnąć, co to miało znaczyć. Może to jednak nie był jeszcze koniec. Może Monter chciał to ciągnąć, póki jego dziewczyna nadal będzie „przynajmniej sto kilometrów stąd”.

Sebastian uśmiechnął się do swoich myśli. On też by chciał.

– No to, Apacz – Monter znów zwrócił się do rudego, dzikiego kurdupla – zainhaluj i golnij sobie, a potem zaprezentuj nam swoje nadprzyrodzone zdolności.

– Nadprzyrodzone zdolności? – zdziwił się Czerniecki.

– Zobaczysz – podłapał Monter. – Apacz wytropi wszystko. Nic mu nie umknie. Zupełnie nic.

Kilka minut później zebrali się z ławki i po chwili zatrzymali się przy mostku, po drugiej stronie którego rozciągała się łąka i las, gdzie wczoraj zginął Bohun, kiedy jego pan miał „rendez-vous w krzaczorach”. Jak to zostało ujęte chwilę temu.

– Miałeś takie same buty jak dzisiaj? – Apacz zapytał Montera, po czym zaczął rozglądać się wokoło.

– Tak.

– Co on robi? – zdziwił się Sebastian, podążając wzrokiem za chłopakiem wężącym z nosem przy ziemi.

– Szuka tropów.

– Co takiego?

Rudowłosy chłopak przekroczył most i chwilę przyglądał się wydeptanej w ziemi, szerokiej ścieżce. Gdy się unosił, dłonią wskazał na węższą dróżkę odchodzącą w bok, pomiędzy zarośla.

– Wczoraj poszliście tam, co nie?

Zaskoczony Sebastian uniósł brwi. Monter skomentował to przekornym uśmiechem. Chyba dobrze się bawił.

– Dokładnie – potwierdził.

Apacz pokiwał głową i kucnął na ścieżce, analizując resztę odcisków. Coś przy tym do siebie mówił, ale nie dało się zrozumieć co. Po prostu mruczał coś pod nosem.

– Widzę tropy twojego szczura i znacznie większego psa. – Przywołał ich gestem dłoni i ruszył pierwszy śladami. – Chodźcie.

Wydawał się tym całkowicie zaabsorbowany, jakby wszystko inne wokół przestało mieć znaczenie. Wszyscy zgodnie ruszyli za nim. I tak, szli w stronę zagajnika, dokładnie tam, gdzie Sebastian i Monter mieli wczoraj swoje „rendez-vous”.

Ten drugi wydawał się w ogóle tym nie przejmować. Sebastian zerkał na niego ukradkiem co chwilę, nie mogąc się powstrzymać i doszedł do wniosku, że chłopaka wręcz bawiła cała ta sytuacja. A przede wszystkim skrępowanie, które czuł Sebastian i najwyraźniej z mizernym skutkiem próbował ukryć. Monter wciąż na niego zerkał, a w jego roześmianym, błyszczącym spojrzeniu aż tańczyła przekora i zadowolenie z siebie. Dobrze się bawił.

Oczywiście, pierwszym, co zwróciło uwagę Apacza w tym feralnym zagajniku, była wyrzucona, zużyta prezerwatywa. Szturchnął ją czubkiem buta i wybuchnął śmiechem. Bardzo dojrzałe, parsknął w myślach Sebastian. Poczul jednak skrępowanie.

– Krążył tutaj – stwierdził, rozglądając się wokół – gdy wy byliście tu przez dłuższą chwilę. Co robiliście?

– Łączyliśmy się z Matką Naturą – odparł Monter. – Seba przylgnął do drzewa, połączył się z nim, by pobrać od niego *ki*. Trochę to trwało, jakiś kwadrans, ale po wszystkim czuł się spełniony i wypełniony jak jeszcze nigdy.

Latające dotąd we wszystkie strony wielkie jak u sarny ślepie rudego dzikusa wreszcie zastygły w bezruchu, skupiając się na Sebastianie. Z tą zmierzwioną, bujną

jak u mały grzywą, na tle lasu wyglądał jak jakiś neandertalczyk z dzidą. Minę miał naprawdę przyglupią.

On najwyraźniej nie rozumiał podtekstu, ale inaczej sytuacja miała się, jeśli chodziło o pozostałą dwójkę. Nic nie powiedzieli, ale Sebastian czuł ich wzrok na sobie. Mrowił go od tego kark. Czekał na to, co się wydarzy. A było to zupełnie nic, aż w końcu, po dłuższej chwili, usłyszał za sobą chichot. To śmiał się Glaca.

Sebastian uśmiechnął się lekko pod nosem. Oni naprawdę mieli wyjebane na wszystko.

– Twój pies poszedł w tamtym kierunku – powiedział Apacz, wskazując ścieżkę prowadzącą w gęstsze zarośla. – Tam jest jezioro.

Poszli więc nad nie, a na miejscu się rozdzielili. Tu nie było już wydeptanych ścieżek, jedynie trawa i trzcina wodna, więc Apacz nie mógł stwierdzić z całą pewnością, w którym kierunku udał się Bohun. Sam pierwszy zniknął gdzieś w zaroślach, widocznie podekscytowany tropieniem. Sam przypominał przy tym psa. Glaca i Mona dostali za zadanie okrążyć jezioro, idąc zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara. Sebastian i Monter znów zostali sami. Ruszyli w przeciwnym kierunku.

\*\*\*

Weszli w sosnowy las. Wyschnięte liście paproci szeleściły pod ich stopami. Dopiero gdy nie dało się ich dojrzeć znad jeziora, Mona usiadł na obrośniętym hubami i mchem pniaku. Sięgnął do kieszeni dzinsów i już po chwili między jego wąskimi wargami tlił się papieros.

– Wiesz – zaczął Glaca, który dotąd podążał za nim bez słowa, a teraz przystanął obok – jest bardzo sucho, dawno nie padało. Nie sądzę, żeby palenie w środku lasu to był dobry pomysł. Ściółka może się zapalić. Apacz będzie zrozpaczony, jeśli zrujnujesz jego naturalne środowisko.

Mona nawet na niego nie spojrział. Odchylił się tak, aby przyjaciel nie mógł widzieć jego twarzy. Jego długie, rozpuszczone włosy pomagały. Nie odpowiedział, tylko pokazał mu środkowy palec. Glaca zaśmiał się gardłowo na ten gest. Oparł się ramieniem o drzewo. Krzywy uśmiech nie schodził z jego twarzy.

– Przecież wiedziałeś, że tak będzie – rzucił. – On zawsze taki jest. Czasami, jak się przeje, robi sobie tylko przerwy, aż znów nie zaburczy mu w trzewiach. Poniżej pępka.

Uzyskał tylko cichą, krótką odpowiedź:

– Zamknij się.

– Dlaczego jego laska cię tak nie rusza? – kontynuował niewzruszony. – Tego nigdy nie mogłem rozgryźć.

– Zamknij się.

Głaca odbił się od pnia sosny i zbliżył się do chłopaka. Wyciągnął z jego dłoni tłącego papierosa i sam się nim zaciągnął. Mona nie obdarzył go nawet pojedynczym spojrzeniem.

– To chuj...

– Zamknij się!

Papieros prawie wypadł mu spomiędzy palców, gdy długowłosey, szczuplejszy od niego chłopak nagle do niego dopadł, chwycił za ramiona i pchnął do tyłu. Głaca uderzył przez to boleśnie plecami o pień drzewa.

– Po prostu się zamknij – jęknął Mona, w jednym momencie tracąc całą siłę, która nagle nim zawładnęła. Zgarbił się i oparł czoło o klatkę piersiową swojego przyjaciela. – Nic nie mów.

Głaca spojrzał na niego, nie wiedząc, co zrobić. Zgasił papierosa, zgniatając go na pniu obok. Nie zdecydował się na żaden pocieszający gest. Jego dłonie zwisały luźno wzdłuż ciała. Nic też nie powiedział. Nie wiedział co. Jednak nie ruszył się z miejsca.

Jedynym gestem, jaki wykonał, było przyciśnięcie palca wskazującego do warg, gdy zauważył wyłaniającego się spomiędzy drzew Apacza. Rudy chłopak pokiwał głową, jakby mówił, że rozumie i bezszelestnie wycofał się po własnych śladach.

Naprawdę był dobrym tropicielem.